

RELACJA

Władysława Strukowskiego

nagrana 8.01.92 przez M. Strasz w Warszawie

Po rozwiązaniu AK należałem dalej do organizacji podpolnej za czasów Stalina. Ponieważ Stalin obiecał nam bezpieczny powrót do domu – ale to wszystko było kłamstwem – ale myśmy wiedzieli i ukrywaliśmy się. Pomimo, że niby zawsze byliśmy w domu, ale zawsze były czujki, czyli warty, które każdy musiał pełnić w swoim miejscu zamieszkania. W domu takim, w bramie zawsze ktoś z naszych AK – owców był, żeby osłaniać. W 1944 roku, 23 – ego listopada o godzinie 3 – ej w nocy ktoś puka do drzwi.

Pyt.: – A gdzie Pan mieszkał wtedy?

W Wilnie, w samym mieście, na ulicy Kalwaryjskiej 11, zaraz za Mostem Zielonym. Nie otwierałem, bo wiedziałem. Ale miałem kolegę, który przyszedł do mnie tak troszeczkę pod gazem, taki Mozel Romuald, który będąc właśnie w akcji, wrócił. Ja pytam: „Gdzieś pił?” On mówi: „Byłem tam i tam i zaprosili mnie do baru na kieliszek.” Ja mówię: „No i co? Co z tego? I wypaplałeś wszystko, tą naszą akcję?” On niby to zaprzeczał, ale ja nie wierzyłem. Tak dzień przyszedł i nocą stuka ktoś. Ja go budzę, bo on położył się spać na tapczanie. A ponieważ on był uzbrojony, z automatem, „empi” niemieckie położył sobie pod głowę. I kiedy stukanie było gwałtowniejsze, no to ja budzę go. Wiem, że on ma broń pod głowę. Ja mówię: „Romek obudź się.” On od razu zerwał się, załadował automat. „Otwieraj!” Ja mówię: „Słuchaj. Automat dobrze schowaj. W tapczan wsadź i ja otworzę.” On posłuchał mnie. Otworzyłem – czterech enkawudzistów wkroczyło. Przede wszystkim oni za światło, żeby zapalić. A ja miałem podłączone do akumulatorów wyłącznie, takie akumulatory samochodowe, w razie wpadki. Przy tym świetle byli bardzo skrupowani. Ale nas od razu za kołnierza, mnie i jego, do samochodu i do NKWD. Róg Trzeciego Maja i Mickiewicza był sąd grodzki i do tego sądu nas przewieźli. Od razu do piwnicy. Tam zamknęli. Naturalnie śledztwo, żeby jak najwięcej wydać naszych ludzi. Ale myśmy się upierali tak, że oni nie mieli żadnego wpływu, pomimo nieraz katowania. Ale wszystko jedno, nikt. „Nikogo nie znałem. My sami.”

Osądzili nas przez ruski wojenny trybunał. 7 miesięcy w śledztwie byłem. Codziennie o godzinie 11 – ej, 12 – ej, nigdy we dnie, zawsze nocą. Przesłuchał o godzinie 12 – ej, już mnie każe iść. Ja tylko się położył. Jakie tam spanie było – na gołej posadzce, to tylko jak kurtkę człowiek miał, to posłał sobie i na tym spał. Tylko o godzinie 12 – ej położyłem się, o godzinie 1 – ej przychodzi, znowu stuka i: „na literę S”. A nas chyba było 7 – miu w takiej maleńkiej celi i każdy wstaje i swoje nazwisko mówi. „Nie. Nie.” A jak ja swoje nazwisko, to: „Wychadi.” I natychmiast. Tylko człowiek przyjdzie, od razu znowu. Tak 7 miesięcy. Potem już posadzili do więzienia na Łukiszki. 1 – ego maja 1945 roku załadowali nas na wagony i pojechaliśmy w nieznane.

Pyt.: – A jaki wyrok Pan dostał?

10 lat katorgi.

Pyt.: – A ten kolega?

Ten kolega też tak samo dostał. Jego wcześniej wywieźli. A drugiego, taki Żukowski Henryk, to jego na miejscu rozstrzelali na Łukiszkach – wyrok śmierci dostał. Dowiedziałem się po powrocie, po 10 – ciu latach.

A [mnie] na Workutę. 1 – ego maja była przesłiczna pogoda, ciepło. O godzinie 5 – ej rano nas gnano. Nie wiem jak to było zorganizowane, że rodzina wiedziała o każdym, kto jest i co z nim się dzieje. 1 – ego maja, kiedy nas wyprowadzili pod konwojem, żeby nas do wagonów załadować – a z więzienia Łukiszki do dworca było chyba dwa i pół kilometra – pędzili nas przez miasto raniutko, to tłumy ludzi wzdłuż [ulic]. I załadowali nas do wagonów. Ja miałem tylko, wieczny pokój, mamę i siostrę starszą. Nie wiem skąd oni się dowiedzieli. Ja siedzę już w wagonie załadowany. Przekupili wartę, podeszli i przez tą dziurę w kratkach w wagonikach pulmanowskich pchają mnie suchary, chlebek, tytoń, żebym miał zaopatrunek.

Pojechałem. Najpierw przyjechaliśmy – Uchta. Tam tak zwany punkt przesylny, *pieriesylny*. Przychodzili z tych obozów i sobie podbierali ludzi do pracy, „kupy” tak zwani. Ja trafiłem na *Pierwyj Kirpicznyj Zawod*, do cegielni. Cegielnia palona drzewem. Kilkaset wagonów dziennie tego drzewa. Myśmy musieli piłować i do pieców szykować drzewo. Potem na skały; młotkami kompresyjnymi łamało się, kruszyło się te skały. To wysypywali do wagonetek i do rozdrabialni, i tam [robili] cegłę. Tam byłem 5 lat.

Po 5 – ciu latach raptem pogłoski chodzą, że na wolność. To był 1949 rok, mniej więcej koło tego; 11 – ego lutego nas załadowali znowu do wagonów. Jedziemy, zamiast na zachód, jeszcze bardziej na północ. Workuta. Jeszcze za Uchtą 1200 kilometrów.

Workuta. Człowiek musiał organicznie przeżyć, człowiek musiał się dostosować do klimatu. A tam po pas śniegu, trzeba było iść. Ale człowiek był młody, to wszystko wytrzymał. Masę ludzi poległo, a szczególnie ci starsi, ci nasi kuratorzy, nauczyciele, ci co mieli życie lekkie, w dobrobycie. W ogóle nie mogli wytrzymać, umierali. Człowiek ostatnim kawałkiem chleba się dzielił, żeby tylko tego człowieka [uratować]. Był taki nasz dowódca, podpułkownik Julian Kulikowski, [mieszka?] tutaj w Warszawie, on razem ze mną wrócił. Starszy był ode mnie. Na Workucie będąc, po odsiedzeniu, po 10 – ciu latach, wzywają nas, wywożą na *punkt pieriesylny*; ponieważ paragraf ja miałem *piat’ diesiat wosiem – odinadcat’*, to był ciężko polityczny przestępca. Po odsiedzeniu wyroku, kiedy nas na *punkt pieriesylny*, zebrało się nas ze wszystkich obozów – a tam było 29 obozów na Workucie i w każdym obozie było kilka Polaków.

Kopalnia 9–10, *szachta* 9–10 – nas tam było chyba ze stu dwudziestu na 3500 ludzi. Przeważnie Litwini i Ukraińcy, a nas bardzo znikoma ilość.

Kiedy nas znowu na ten *punkt przesylny* i na wyjazd, nie podpisywałem żadnego obywatelstwa, bo zaraz narzucali nam obywatelstwo, żeby przyjąć. Ja się uparłem i nie podpisałem. Wszystko jedno mnie. Nie dali wyjazdu, tylko na wieczną zsyłkę. Wyrzucili na ten śnieg i człowiek bezradny. Tyle lat w obozie. Jak tam było – jak było, ale zawsze – pajkę chleba, tej zupy. Chociaż przeważnie zupka taka gotowana z tak zwanej północnej kapusty – ona wiecznie zielona, nigdy biała nie była, zawsze taka ciemna zieleń. Jak się ugotowało tą kapustę, polewka była jak atrament. Człowiek musiał to jeść, gorzkie. A tu jak wyrzucili [z obozu], człowiek nie zna nikogo, nie wie gdzie iść, co robić. Z kopalni jak wyszło się, to tam Litwini, którzy wcześniej powychodzili pół roku, miesiąc, dwa, oni tam *usadowilis*. A ponieważ myśmy pracowali razem w kopalni, a oni już byli na wolności, przygarnęli mnie. Mówią: „Chodź. Na podłodze przepisz się, zanim sobie coś nie znajdziesz.” Ja tak kilka dni. Karmili mnie, żywili, jak tylko mogli. I ja wyszedłem do miasta. A ponieważ trzeba z czegoś żyć, trzeba gdzieś pracować, to z powrotem do tej samej kopalni. Tam się znało już obejścia, wszystko. Do tej samej kopalni wróciłem pracować.

Pyt.: – A to było daleko od miasta?

Przy każdej kopalni były osiedla. Więźniowie jak wychodzili z kopalni, z *łagrów*, to zaraz budowali się, kombinowali materiał. Drzewa było pod dostatkiem. Były jakiś chlewik, żeby na razie zimę przetrwać. Budowali sobie, ogrzewali, drzewa było pod dostatkiem. Jakoś tam można było wytrzymać. Wróciłem do kopalni jako wolny człowiek. Mnie przez wartę przepuszczano do pracy i z pracy. Mam legitymację, tylko nie wziąłem ze sobą, z *Workuty*, która mnie upoważniała do obozu przyjść do pracy i znowu z pracy. Po pracy zawsze była rewizja, żeby nic nie przynieść dla więźniów i nic nie wynosić. Przychodzę do pracy, pułkownik Julian Kulikowski i jeszcze, wszyscy nasi, każdy przychodzi i prosi, błaga cię: „Weź adres mój, zawiadom jakoś rodzinie.” Ja, jako wolny człowiek, miałem prawo listy wysyłać, kontroli by nie było takiej ścisłej. Taki staruszek, jak ja wyszedłem, to on miał chyba 75 lat. To dzieliłem się z nim. Jak pracowałem, 200 rubli miesięcznie dostawałem, to te 50 rubli: „Masz panie Julianie.” Bo on już niedołężny, do żadnej pracy, tak zwany *aktirowany* był. Pomagało się, jak tylko mogło się.

Wyszedłem do miasta. Do miasta to 3 kilometry było, ale to teren górzysty. Aż serce wyskakiwało, jak człowiek szedł, dlatego, że hałdy olbrzymie tego węgla wydobywanego razem z miałem, to szło wagonetkami do góry – takie hałdy olbrzymie – i one same się zapalały. Bo było dużo siarki i drzewa masę, desek, deseczek. I to pod silnym ciśnieniem, kompresją, zapalało się. Wiecznie dymiło. Jak tylko było pochmurno, dym po ziemi i człowiek szedł i dusił się. Pomimo tego, że chłodno, ale bywały dni pochmurne.

Zimy tam przeważnie bywały od początku września do 15–ego maja. To aż słupy elektryczne pękały od mrozów. Idiesz, tylko „pem”, i na pół. Nieraz był nawet do 52 – ch stopni [mrozu]. Ale człowiek odporny, już zahartowany. Poszedłem do miasta, żeby przyglądać się, co tam w tym mieście jest. Patrę się, aż mnie zdziwiło. Patrę: szynki, balerony. Ale to wszystko z drzewa, pomalowane identiko, ale ugryźć nie można. Tak idę i słyszę przed sobą. Idzie kobieta z mężczyzną i rozmawiają po polsku. Ja bardzo zaciekawiony, podchodzę i mówię: „Bardzo przepraszam. Słyszę mowę polską. Ja jestem Polakiem...” Od razu pani mnie do środka: „Chodź kochany, chodź.” On był na zsyłce, taki Kwiatkowski. Nie siedział w obozie, ale od razu po sprawie dostał zsyłkę. Był fachowcem, elektrykiem i pracował w elektrowni. I dostał stary jednorodzinny domeczek, to znaczy pokój razem i kuchnia, i sypialnia. Wszystko razem. Zabrali mnie. „Tu będziesz mieszkać – mówi – aż sobie coś nie znajdziesz.” Tam mieszkałem.

Jak byłem na tej wolności, musiałem dwa razy w tygodniu chodzić do speckomendantury na lustrację, że jestem. Przychodziło się, taki tajniak siedzi, bałwan. Musiało się stanąć przy drzwiach na baczność i meldować się, że ja taki i taki. I on odnotowywał, że taki się zgłosił. To było cholernie upokarzające. Jakoś człowiek to wszystko wytrzymał. Nie było mowy o wyjeździe. 4–ego grudnia kazano się zgłosić do speckomendantury. Ja przyjechałem w 1945 roku w grudniu miesiącu, a 4–go grudnia wyjechaliśmy. Zawieźli nas do Nowego Sącza. 4–ego wyjechaliśmy, a 11–ego byliśmy w Nowym Sączu. Bo tam był Czerwony Krzyż. Tam skoszarowano nas. Tam nas od razu do łaźni, umyli, dali nowe bieliznę, ubrania. Pościel czyściutka, bielutka. Człowiek nie wierzył sam sobie, że coś podobnego jeszcze istnieje na tym świecie. No i poszukiwanie rodziny. Ja wiedziałem, że są w Polsce, ale nie wiedziałem, gdzie, co i tak dalej. I znaleźli aż w Kętrzynie brata i mamę. Starszy brat i mamusia, i tam cała jego rodzina, żona i dzieci. To było pierwsze po przeszło 10–ciu latach święto w rodzinie. Ja jeszcze byłem kawalerem, Gieniuchnę jak raz na święto podłapałem sobie. Mam dwie córki. Mieszkam w Ciechocinku, a tutaj jestem u córki.

Pyt.: – Jak Pan przyjechał do Uchty, do tego pierwszego łagru, czy już były tam numery? Dostaliście numery?

Nie. W Uchcie nie mieliśmy numerów. Ale kiedy nas zawieźli już jako *opastny element* na *Workutę*, tam dostaliśmy numer. To mój numer: *Odin – A, odin – M...* Już nawet zapomniałem. *Odin – M – dwiestie wosiemdesiat piat’*. 1 – M – 285. Dlaczego „M”? Alfabet rosyjski jest bardzo długi i każda litera miała do tysiąca jeńców. Tak że 1 – M i 2 – M, i 3 – M, nawet do tysiąca. Setki tysięcy było obozowiczów, więźniów za Stalina. Dzięki Bogu dobrze się żyje, bo dostałem inwalidztwo wojenne, rentę mam. Mam 74 – ty rok.

Pyt.: – Na *Workucie* to była kopalnia 9–10? Taki podwójny numer miała. Czy dwie może były tam kopalnie razem?

Kopalnie 9 – 10 były złączone. I była Pierwsza „*Kapitalna*” zaraz obok. Ale to było odgródzone tak, że mogliśmy się porozumiewać przez druty z tymi Polakami, którzy tam byli [na 1 *Kapitalnej*].

Pyt.: – Pamięta Pan jakichś Polaków właśnie z tej kopalni 9 – 10?

Kiałko Stanisław, on kończył w Warszawie Akademię Sztuk Pięknych. On różne plakaty robił dla naczelników. Z

gliny, z gipsu zrobił podkowę i w środku głowę konia, podarował mi w Workucie i ja jeszcze to mam, wisi przy drzwiach wejściowych. Bardzo oryginalne.

Była nasza łączniczka, „Basia” pseudonim, i ona była też na Workucie. Tam był obóz kobiecy. Jak zwolnili się [Kialko i „Basia”], pobrali się. Ja nie miałem łączności z nimi żadnej, bo człowiek był zaprzątnięty, żeby swoje życie zorganizować.

Teraz drugi jest Gradzewicz Franciszek, w Gdańsku. Byłem ja u niego chyba z 15 lat temu. Taki nieduży, bodajże ryżowaty był. Też tak samo [ożenił się], z taką Nuszka. Bardzo przystojna dziewczynka była, czarne oczy, nieduża, ale niesamowicie żywotna. Oni się pobrali, w Gdańsku zamieszkali.

Bardzo często mi przychodzi na pamięć Żukowski Henryk. Niesamowity. W łeb strzelił enkawudziście i za to dostał karę śmierci. I w więzieniu go... Nie wiedziałem, kiedy przyjechałem. Nie wiedziałem, że on nie żyje. Dobrze znałem ich rodziców. Proszę sobie wyobrazić ich rozpacz. Ojciec miał dwóch synów: Władysław Żukowski i Henryk Żukowski. Obaj moi byli przyjaciele. Przed samą wojną zaciągnął się do Marynarki Wojennej ten starszy, Władysław Żukowski. Ponieważ z tym starszym mniej więcej w jednych latach byliśmy, to tego Henryka zawsze odsuwałem, bo to jakieś 10, może 12 lat młodszy. Ale potem okazał się niesamowicie bohaterski. Kiedy przyjechałem, przede wszystkim [ich] odnalazłem.

Miałem narzeczoną. Wojna naturalnie przerwała to. Ja odszukałem ją. Ona mnie odszukała na Workucie. Przesyłała paczki, pisywaliśmy. Kiedy przyjechałem, odnalazłem ją. Przejęty wchodzę i zastaję matkę, okazuje się, pięciorga dzieci. Jej nie było. „Zaraz – jej mamusia mówi – zaraz Janeczka przyjdzie.” Zaczekałem, przyszła. Powitaliśmy się. Ona mówi: „Słuchaj Wladek. Bardzo cię przepraszam, że zawiodłam, ale musiałam życie jakoś.” Ja mówię: „Janeczka, ja nic nie mam przeciwko tobie. Zupełnie słusznie postąpiłaś.” Będąc zamezną i dzieciątą przysyłała mi paczki do Workuty. Też straciłem łączność. Tak dowiedziałem się. Ojciec miał dwóch synów. Jeden do Marynarki poszedł. Drugi, Żukowski Henryk, był zabrany do armii pomocniczej niemieckiej, która była aż w Leningradzie. I stamtąd uciekł, i do partyzantki przeszedł. Dostaje wiadomość, że jeden poległ jako bohater na okręcie angielskim w czasie nalotów niemieckich. Bombę rzucili, rozerwało. Pytam, co z Heńkiem. Ojciec płacze, całymi nocami zrywa się i krzyczy: „Henio!” Nie mógł przeżyć tego, że go rozstrzelali.

Nas już wywieźli. Mózgi Romuald zmarł na dezynтеріę na Workucie. Ja przyjechałem później o pół roku ze względu na ciągle te śledztwa i dowiedziałem się, że w tym samym obozie zmarł na dezynтеріę. I powiedział ojciec [Żukowski], zanosił paczki dla syna, dla Heńka i któregoś dnia już paczki nie przyjęli. A on był w celi śmierci. Chyba kilka tygodni był w tej celi śmierci. Musiał cierpieć, wiedząc, że łađa dzień przyjdzie śmierć.

Znałem człowieka, który egzekucje robił w obozach. A jak zapoznałem? Byłem w mieście. Człowiek nieraz na piwko, jak było za co. Wchodzę któregoś dnia do knajpki. W Wilnie. Patrę się, za stolikiem siedzi mężczyzna lat 35 – 8, ładnie, mocno zbudowany. Widać dał sobie mocno w gaz, bo zupełnie bez przytomności oparty. Jak człowiek pijany, to jest wtedy najszczęśliwszy. I ja tak przy drugim stoliku siedzę i przysłuchuję się temu. On właśnie mówi, rozpacza nad tymi. „Takiego – mówi – chłopaka nie widziałeś. Tak jak anioł był i musiałem go rozstrzelać.” Takim dawali zastrzyk, żeby on trochę obłądu dostał i on wykonywał rozkazy na ślepo. I właśnie on po wypiciu opowiadał, że zabił blondyna przystojnego, anioł, a nie człowiek. Tak i ojciec się dowiedział. Dwóch synów i żadnego nie ma. Z Londynu przesłali orderzy tego syna dla ojca.

Pyt.: – Po śmierci Stalina latem 1953 roku na Workucie w kilku kopalniach wybuchł strajk.

Owszem. Strajk wybuchł w *szachcie 29*. U nas już szumiało, żeby też tak samo, ale ponieważ nami była odległość duża i tą część, gdzie myśmy byli przedzielała rzeka. Tak, że kopalnia 29 była bardziej na północ.

Pyt.: – Za rzeką już?

Za rzeką. Było trudno z łącznością, a zdwoili wartość wszędzie. Nieraz pokazywali, że tam Niemcy trzymali jeńców, te wyszki porobione z drzewa i te na wierzchu. Oni identycznie wzięli od Niemiec te obozy. Identycznie ten Stalin cholerny przyjął. Przecież on zawarł umowę z Hitlerem. On uderzy ze wschodu, żeby odciążyć armię polską od Niemców, żeby na zachód nie poszła. Przecież to już przed wojną było podpisane.

Taki Marcinkiewicz, który siedział ze mną w obozie. Potem wyszedł. On cholernie dużo palił. Pół roku na wolności, facet zaczął krwawić płuc. Wzięli do szpitala, zobaczyli, że nic z tego, zmarł. I musieli go pochować. I mam jeszcze gdzieś zdjęcie z pogrzebu, jak zakopujemy jego. To było wiosną. Pamiętam tylko, że dół jak wykopaliliśmy z półtora metra, to od razu woda zalewała się. I myśmy do tej wody tak położyli.

Pyt.: – On też był na kopalni 9 – 10?

Tak.

Pyt.: – Pan mówił, że był szum u was na wieść o strajku na 29 – ej kopalni.

Tak. Już szykowaliśmy się.

Pyt.: – Ale jak? Rozmawialiście?

Tak. I to wszystko tak cichutko. Szpiclów było tak dużo, nawet z tych naszych, to znaczy nie z Polaków, ale z Ruskich, Ukraińców, Litwinów, którym dawali więcej żreć, żeby oni tylko donosili. A w obozach byli tak zwani sędziowie pełnomocni, *operpełnomoczen* czy jak on tam, którzy werbowali szpicli, żeby kto tylko coś mówi, żeby od razu [donosili]. Ni stąd, ni z owąd, człowiek nie spodziewa się z kim rozmawia i co tam słyszy, czy nie, no i przychodzą, zabierają go.

Pyt.: – Jakoś staraliście się przeciwdziałać temu?

Tak. Już zaczęliśmy organizować się. Zaczęliśmy układać plany. Przede wszystkim wartość zlikwidować. To pierwsze

było nasze uderzenie, żeby zlikwidować wartę i obok te wszystkie popiłować, zniszczyć i połączyć się z innymi obozami, gdzie są Polacy. Ale to już nie tylko Polacy, ale wszyscy w jedną rękę.

Pyt.: — Również z Ukraińcami dobrze się...?

Nie było innego wyjścia. On tak samo cierpiał, jak i my. To samo otrzymywał, co i my. Bywało tak w pracy nieraz. To zaraz jeden drugiemu wyrzucamy te: „A ty Polak!” „A ty Ukrainiec, diabeł!” Tak, że bywały takie niesnaski, ale to zaraz przechodziło i za pan brat wszystko było.

Pyt.: — A czy Rosjanie, czy w ogóle inni też jakoś byli aktywni w tych planach, przygotowaniach?

Braliśmy na barki wyłącznie my.

Pyt.: — To znaczy Polacy i Ukraińcy?

Ukraińcy też nie zupełnie. Dlatego, że baliśmy się. Swój do swego miał więcej zaufania.

Bardzo ciekawe. Wzywa mnie speckomendantura. Jak zawsze stało się przydrzwiach i meldowało się. A 4-ego grudnia, jak on mnie wezwał, zaraz — za stolikiem siedzi — podsuwa mi krzeselko. „*Sadis. Skolko ty zarabatywujesz?*” Ja mówię: „*250 rubli.*” „*Ty żywiesz kak ...*” Myślę sobie — diabli by wzięli, o co chodzi? Tak w myślach kontrę sobie kombinuję. Posuwa mnie paperek, druczek, że „ja niżej podpisany zgadzam się na przyjęcie obywatelstwa rosyjskiego”. Ja odsuwam mu ten paperek. „*Poczemu?*” „*Potomu, szto ja Polak, a nie Ruskij. Ja imieju polskie grażdanstwo, ja nie magu miec dwojewe grażdanstwa.*” „*Durak. Pauczajesz siezczas 250, a budiesz pauczat tysiac wosiemndesiat rublij.*” Tak mnie cały czas męczył i krzyczał. Oparłem się. i dzięki temu, że nie podpisałem, to przyjechałem. Bo raptem dostaję, że mam się zgłosić 4-ego grudnia i on mnie jeszcze raz namawia. On widzi, że nic z tego, to polecił mi, żebym ja poszedł na milicję do pokoju numer 18 i tam mam się zgłosić. Poszedłem tam. Zaraz na drugi dzień dali mi chleba bochenek, dali mi kostkę masła, dali kilogram cukru tak na wyjazd. I powiedzieli, żebym o godzinie 11 — ej w nocy był na dworcu. Ja tam zakorzeniony byłem przez te, jakby nie było, 7 miesięcy. Człowiek nie myślał, że przyjedzie do Polski, w ogóle nie było mowy o tym. Ja sobie tam zarobiłem, kupiłem ręczną maszynę do szycia. Kupiłem radio „*Baltika*”, które jest dotychczas, jedna lampka mnie nawaliła, ale przepięknie odbiera. Takie jak ten telewizorek, troszeczkę mniejsze i troszeczkę szersze. To ja jeszcze kupiłem tam na *Workucie*. To jeszcze koleczy przychodzili do mnie, i myśmy nastawiali to na [polski program]. To była może taka tęsknota.

Pyt.: — A kiedy żeście odstąpili od tego zamiaru strajku, ataku?

Odstąpiliśmy wtenczas, kiedy myśmy już przyszykowali się, żeby wybuchnąć, a przyszła wiadomość do nas, że strajk zlikwidowany brutalnie został. Wkroczyło z automatami i wszystkich tych, co byli w pierwszych szeregach na automaty wystawieni, siekli jak zboże. Przyszło i rozpędziło. A kopalnia 29 miała najwięcej ludzi, więźniów. Tak jak u nas 7000, 9000 na 5 — tej *szachcie*, a 29 miała chyba przeszło 100 tysięcy więźniów, tam była największa kopalnia.

Pyt.: — A kto przyniósł tę wiadomość?

Druty telefoniczne. To znaczy telefonów nie było. Były, ale bardzo rzadko. Byle komu dostępne nie było. Mieliśmy swoich łączników.

Pyt.: — To byli wolni?

Tak, wolni. Przecież ja, jako wolny, strach — przecież podpisywałem wyrok śmierci na siebie, że jeżeli tylko będę miał jakąś łączność z więźniami, to mnie grozi 20 lat katongi.

Pyt.: — Taki papier trzeba było podpisać?

Tak jest. To proszę sobie wyobrazić, jak człowiek mógł narażać się i narażał się przenosząc, przypuśćmy, adres i wysyłając. Mając adres, kto ma otrzymać, dokąd mam nadać, wysyłałem jako *Strukowski Władysław*, a nie *Kiałko* czy *Gradzewicz* czy inni. Ale kiedy dostawałem, to wiedziałem, komu to dostarczyć. Tak się nosiło. Pod zelówki chowało się, specjalnie robiło się dziurki w piętach, żeby wepchać. [Listy] to była jedyna nasza radość.

Pyt.: — A czy zdarzało się, że ktoś ze straży powiedział jakąś wiadomość, co się dzieje na świecie, czy nie było żadnych kontaktów między więźniami, a strażnikami?

Były kontakty między wartą a więźniami, ja sam miałem. Przypuśćmy chory leży z naszych i on potrzebuje cukru, potrzebuje tłuszczu. Przecież tam nie dawało się tyle ile człowiek chce, ale to była znikoma ilość, że to zawsze brakowało. Jak przenieść? To nie igły, że weźmiesz schowasz. Wzięło się pół litra, wypilo się w dwóch, „*Idi.*” W ten sposób, ale za każdym razem pół litra trzeba było dać, bo pieniędzy, to człowiek nie tego. Oni nie wiedzieli, co z pieniędzmi robić, bo pieniędzy było, a nie było co kupić.

Proszę sobie wyobrazić. Ja byłem kawalerem. Ja idę do tych *Kwiatkowskich*, co nadmienilem i co mnie tam zatrzymali. Oni potem wyjechali i zostawili mnie w tym domku. Ja idę któregoś dnia z pracy. Od obozu jakieś półtora kilometra stał taki domek drewniany też i tak zwany *łarok*. *Łarok* to znaczy sklepik. Ja zachodzę przez ciekawość. Patrę się, w środku kolejka. Ja podchodzę do lady, pytam za czym to ludzie stoją. A taka [sprzedawczyni], niczego sobie, popatrzała się na mnie, uśmiechnęła się i mówi: „*Za sacharom.*” A ja mówię: „*A kak u was kupić?*” Od razu trafiłem jej do gustu, tylko mogę w ten sposób [tłumaczyć], bo pierwszy raz widzę. Jeszcze nie miałem po tylu latach wyjścia do czynienia z żadną kobietą, rozmowy żadnej. „*Prijdi wieczorom. Przyjdz wieczorem. Budiet mieszok. Worek cały.*” Przeszedłem wieczorem, ona czeka. Worek stoi z cukrem. Problem, jak jego wziąć. *Sanoczki.* „*Ja nie imieju.*” „*Ja imieju.*” Ja jej zapłaciłem za ten cukier. Ona mnie pomogła aż nawet do domu przywieźć, bo teren strasznie tam nierówny. Potem zaprasza mnie na święta. Święta Bożego Narodzenia. Okazuje się — Ukrainka, ale po polsku dobrze rozmawia, z naszych terenów. Ukrainka, która ma córkę niedużą, chyba miała 7. Do szkoły rosyjskiej już szła. Miała kochanka. Stary już, *Pieniązek*, zdun, co piece stawia. Wypiliśmy, ja trafiłem na pierwszy raz, no i do tańca. Stary poszedł, niby to wyszedł, a my sobie tańczymy. Stary poszedł za okno i przygląda się. Ona zaczęła do mnie się

umizgać. Ja odsunąłem się. Ten wskakuje i do niej, bo on widział, że ja nie byłem winny. Awantura. Ja ubrałem się i pojechałem.

Pyt.: — Czy obóz miał ten sam numer co kopalnia?

Z reguły tak.

Pyt.: — Czy tam byli błatni?

Błatnoj, to znaczy złodzieje. Recydyw niesamowity.

Pyt.: — Nie we wszystkich kopalniach na Workucie było ich dużo.

Przeważnie w obozach byli tak zwane *suki* i *błatnoj*. *Błatnoj*, to był rdzenny złodziej. Jeżeli on zobaczy chleb i wie, że masz tylko jeden kawałek, on nie zabierze. *Błatnyje* to *wor*, *wor* to znaczy złodziej. A *suka* to jest znowu taki donosiciel i kombinator. Oni ze sobą niesamowite walki toczyli. Zabijali się nożami na śmierć. Tamten prawdziwy złodziej nigdy nie sprzeda, nigdy nie doniesie, żadnym władzom, a jest bardzo przeciwny tym, którzy donoszą. Oni między sobą niesamowicie walczyli. U nas, na kopalni 9—10 wybuchła taka walka, bo tych złodziei było i donosicieli. Wybuchła [walka], że chyba z 10—ciu było zabitych między nimi.

Pyt.: — A kto wygrał?

Wygrali złodzieje. Zawsze była rano o godzinie 5—tej pobudka w obozie. Potem na dwór wszyscy do apelu. Wyczytywał, że w razie ucieczki, tego, owego, to kula w łeb. Wartownicy bali się podejść do złodziei. Bo ten kładł się spać, taki nóż miał po poduszką. Przychodziła warta nieraz, ci wojskowi — bo tam tylko wojsko — robić rewizję. Bo co pewien okres czasu była rewizja gruntowa — ubranie, pościel, wszystko. Leży ten złodziej, nie wstaje. Nie podchodzi do niego żaden wartownik, bo wie, że [złodziej] ma nóż. A on [żołnierz przeprowadzający rewizję] jest bez broni, bo jemu nie wolno z bronią przyjąć. I odchodzi. I jeżeli chodzi o ścisłość, oni [złodzieje] byli bardzo zorganizowani. Tak byli zorganizowani, że przypuścimy tego donosiciela, żeby jego ocalić, [władze przenosiły] do drugiego obozu, 10, 15 kilometrów [dalej]. W ślad za nim poszła jego cała opinia. No to już tam [w tym drugim obozie] na niego tak samo, obserwowano go.

Myśmy byli polityczni, nas traktowano gorzej jak recydywistów.

Pyt.: — To znaczy straż?

Straż i w ogóle naczelnicy. Nic absolutnie, tylko praca.

Pyt.: — Baraki zamykane?

Do śmierci Stalina były zamykane braki, jak Stalin zmarł, to baraki już nie były zamykane.

Pyt.: — Od razu po śmierci Stalina?

Od razu po śmierci Stalina. To znaczy wydaje mi się, że po miesiącu, czy po dwóch już były baraki nie zamykane. Ale nie było mowy, żeby po apelu wyjść i iść po barakach, było zabronione. Było przykazane, że nie wolno chodzić po cudzych barakach.

Pyt.: — Jaki był stosunek worów do was, do politycznych?

Do politycznych był dobry stosunek *worów*. Pierwszy dowód był, kiedy ja trafiłem na Łukiszki po śledztwie. Po śledztwie przyprowadzają mnie na Łukiszki i do celi mnie. Miałem jeszcze trochę sucharów, trochę tytoniu, to mnie nie zabierali, a pozwolili. Po śledztwie tego, co człowiek przy sobie miał, nie zabierali. Oprócz tylko ostrych narzędzi. Rzucili mnie do tej celi. Już większa była, tam nas chyba było 15—tu. To co miałem, jak przyszedłem do celi, wszystko wysypałem na podłogę i mówię: „*Riebiata. Sadtities' i kuszajtje.*” I taki był marynarz, pirat, dwa dwadzieścia [metra] wzrostu, bary takie. Tak miał brzydką twarz, a szczególnie zęby — porzewiałe. Siedział i dookoła niego złodziejaszki. Ja instynktownie widział, że tutaj muszę się zachować zupełnie inaczej; wysypałem te swoje suchary i mówię: „*Riebiata, kuszajtje.*” On tak na mnie popatrzał. „*Odkuda ty?*” „*Polak, s etowo goroda [z Wilna].*” Jego nazwisko Mietielica. A byli [tam też] Litwini. Litwini byli bardzo dobrze zaopatrywani przez swoich znajomych, rodziców, [całymi] worami — słoniny, chleba. Przede wszystkim tam słonina i chleb się liczyły, no i cukier. Oni [Litwini] wszystko w tych workach i na worku siedzieli. Ten Wowka Mietielica, kiedy głodny był, to kazał złodziejaszce: „*Idź do tego [Litwina], poproś, niech da mi zjeść.*” [Tamten na to:] „*O, to jest moje. Nie dam.*” No to zaraz: „*Riebiata, zabrać mu to.*”

Jak [Litwini] buty mieli — [złodzieje] zdejmują buty; podchodzi, bierze za cholewę... W łeb dadzą dobrze, zabiorą jedzenie. Mietielica wysypuje to i wszyscy muszą jeść. Mnie to odraziło. Nie byłem przyzwyczajony do tego. „*Wowka, wkuszaj.*” Ja mówię: „*Spasiba, ja nie chcę.*” Przyszedł, odkroił kawałek słoniny, chleba odłamał kawałek. „*Wkuszaj.*” I to była solidarność.

Ja trafiłem z nim do Uchty najpierw — to miałem dobrze, głodu nie cierpiałem. On zawsze pamiętał. Tak, że przysyłał zawsze, jak tylko coś zdobędzie; chcesz czy nie chcesz, zostawiają ci i idą.

Pyt.: — Ale Pan już nie miał okazji jakoś się odwzajemniać wtedy, w tej Uchcie, prawda?

Nie miałem okazji. Ale to jest solidarność [takiego], zdaje się, wyrzutka społeczeństwa. To jest bardzo ciekawe, dlatego, że oni nigdy między sobą nie mieli żadnych utarczek, złodziej ze złodziejem. Oni byli solidarni na całą Rosję; wiedzą, że to jest prawdziwy złodziej. Idą zawsze z pomocą, on się przyłącza do nich i razem z nimi kradnie, i dzieli się też tak samo. A tych to *suka* przezywali, straszne było. Teraz nieraz ja tak. Ja wiem, że to nieładnie to zrobić, ale się zrobiło. Sam sobie toleruję te sprawy.

Pyt.: — Czy po śmierci Stalina był jakiś transport do waszego obozu?

Tak. Po śmierci Stalina jeszcze był transport.

Pyt.: — To znaczy w tym okresie między śmiercią Stalina a strajkiem na 29—tej?

Tak. Był.

Pyt.: – Nie pamięta Pan, skąd?

Przeważnie z tych terenów zajętych, tak jak z Ukrainy, to znaczy Lwowa, Wilna, Białorusi, z tych przeważnie terenów. Oni oczyszczali, jeszcze NKWD istniało. Trafiało się – taki Niedźwiedzki Włodzimierz z Warszawy, też do AK należał, jakoś tam trafił. Ale jego nie zabrali z Warszawy, ale on miał zadanie we Lwowie jakieś do wykonania i go złapali.

Pyt.: – I wtedy właśnie, już w 1953 roku przyjechał do waszego obozu czy wcześniej?

Nie. Może później nawet. 1952 – gi, 53 – ci. Bo w 1955 – tym ja już wróciłem.

Pyt.: – A o strajkach w zupełnie innych miejscach słyszeliście coś, na przykład o Karagandzie, o Norylsku?

Była wymiana obozowiczów. Z Karagandy przysyłali na Workutę, z Workuty na Karagandę czy tam na inne te ich piaszczyste tereny, na przykład do kopalń złota. Była wymiana jeńców i właśnie w ten sposób ta wiadomość dochodziła do nas. Bo specjalnie takiej łączności nie [było].

Proszę sobie wyobrazić Workutę. Uciekło raz chyba z pięciu. Zrobili taki domek, tak zwana *kipitilka* – specjalny domek, gdzie wodę się grzało, żeby ciepła była. A to blisko drutów było, metrów chyba 10. Tam były trzy rzędy drutów. Między drutami zawsze czyściutko i delikatnie ziemia wygrabiona, jak śniegu nie było, żeby ślad zawsze został. [Więźniowie] zrobili podkop pod ten piec. Znosili drzewo, podkładali, a jak wygaszało, to wynosili popiół, a jednocześnie ziemię i wynosili, i wysypywali to razem z popiołem. Nie rzucało się w oczy, że to ziemia, że podkop jest. Zrobili podkop. Pięciu prześliznęło się aż za druty i poszli sobie.

Pyt.: – To było latem?

To było z wiosną. A lato było takie, że nieraz słońce ładnie dosyć przygrzewało. To tylko, że ziemia tajała na pół metra, dalej to już zamrznięta. Fakt, że wody zawsze stały na powierzchni, nie wsiąkały.

Pyt.: – A roku nie pamięta Pan tej ucieczki?

To było zaraz po Stalinie [1953 rok?]. Przecież do najbliższego lasu to 500 kilometrów. Trzeba było mieć siłę, żeby przejść. Bo żadna lokomocja. Pociągi, owszem, przychodziły, ale pod [ścisłą] kontrolą. Węgiel, na przykład, z kopalni wyjeżdża, wagonetką. Staje [strażnik] na ten wagon z węglem, ma chyba 5 – cio, 6 – cio metrowy stalowy drut. Staje i przekłupa co 10 centymetrów. A jak przekłuje, zaraz wyciąga – jest krew, to znaczy, że jest [tam ukryty człowiek].

Pyt.: – A zdarzało się, że była krew?

Tak. Zaraz wagon wywracają. Z obozu mógłbym opowiedzieć numer. Przywiązują do dużego palca [nieboszczyka] patyczek i na sznureczku numer obozowy. Ciągną go za nogi gołego, rozebranego; ubrania szkoda – drugi przyjedzie, żeby umrzeć.

Wychowanie miałem wzorowe, religijne, do kościoła chodziłem, wierzyłem w Boga. A po tym przeżyciu nie wierzę w Boga. To tak ciężki cios był dla człowieka. I patrząc na tych ludzi, za co? To mnie przecież żona nazywa „wnuczek Stalina”.

Ja z Wilna jestem, w centrum mieszkałem. Wilno liczyło 250 tys. mieszkańców, niemałe, Warszawa trochę więcej – zdaje się 700 tys. Bo ja mieszkam w Warszawie, rok, przed samą wojną. Miałem w Warszawie brata stryjecznego i ten mnie zabrał z Wilna. Ale kiedy wybuchła wojna, to musiałem do jednostki swojej, do Wilna wrócić. Piękne jest Wilno i tyle tam Polaków jeszcze jest. I te pchły, psiakrew, Litwini, to jest naród tak paskudny. Tam w obozie jak byliśmy, na Workucie, w Uchcie, oni ze sobą za granicą, ale nikomu poza sobą nie udzielił pomocy. To są ludzie tacy, że ja bym ich z przyjemnością na księżyc wysłał. Ja ich znam. Ja jestem urodzony w 1918 – tym. Myśmy mieszkali w rdzennej Żmudzi na Litwie, dlatego, że tatuś i mamusia za carskiej Rosji (taki sam los mnie spotkał, jak mego tatusia i mamusie) do konspiracji należeli i [ich] złapali. Wysłali ich na Sybir. Brat starszy jest urodzony w Łotwie, w stolicy, Rydze. Ja znowu w Wilnie. Tatuś wracając z niewoli, na piechotę bodajże z Syberii, przeszedł tę Litwę i jakoś tam zahaczył się do pracy na Litwie w Szaulas, mieście. I tam pracował w więziennictwie. Do żadnej roboty [nie przyjmowano], tylko najgorszej, to więziennictwo. A tatuś był taki, że przy nim uciekło z więzienia kilku więźniów. No to jego tam ciągnęli, ale jakoś tam. Cały czas tatuś i mamusia starali się wyjechać. I w 1926 – tym roku przyjechaliśmy do Wilna. A Wilno już było nie litewskie, tylko polskie. Mamusia miała posiadłość zaraz pod Oszmianą, niedaleko Wilna. Miała coś 5 czy 7 hektarów. Ale myśmy mieszkali w Wilnie i żaden z nas na wieś nie poszedł. Tak, jak nas było czworo, ja, brat i dwie siostry. Pomimo tego, że nie było komu robić na tej ziemi, babcia była stara, zostawili sąsiadom.

Pyt.: – Jak się zakończyła ta ucieczka pięciu z Workuty?

Potem przyprowadzili ich, bo od nas uciekali, i do tego samego obozu. To znaczy część ich przyprowadzili, zdaje się dwóch. Oni jak przeszli kawałek... Tam co kilkanaście kilometrów były tak zwane czujki, warty. I oni jakoś podleźli pod wartownika, zamordowali go, zabrali broń i już z bronią szli. Innego wyjścia nie ma. Polowali sobie i mięso surowe jedli. Wszyscy, którzy tam mieszkali, co kilkaset kilometrów były wsie, byli uprzedzone, że jak jakiś więzień albo nieznaną osobę zgłosi się do kogoś o pomoc, dostaną worek mąki za to, że go wydadzą. Oni [tubyłcy] sobie w ten sposób życie zdobywali. Okrążyli ich, helikopterami zaraz za nimi, cały czas śledzili. Było śniegu dużo, to [uciekiniery] oni prześcieradła wzięli z sobą, okrywali się. Ci, którzy uciekali, to byli specje. Już niejedną raz uciekali. Znałem ich; mówili, że im wszystko jedno, będą uciekać.

Pyt.: – A kto to był? Jakoś mógłby ich Pan opisać?

To byli lotnicy rosyjscy. Dwóch zastrzelonych przywieźli. Zrobili apel. Pod bramę położyli „to są skutki ucieczki”. A tych wzięli. Tak zwany obóz *sztrafnoj* był, na samej górze, na najwyższej górze był obóz.

Pyt.: — Numer jakiś miał?

Tak zwany *sztrafnoj*. Jak tam ktoś dostał się, jak wyszedł stamtąd, to on był *tonki, zwonki i przeczny*.

Pyt.: — To była jedyna taka ucieczka?

Tak, to była jedyna. Z innych obozów na pewno też były, ale człowiek nie interesował się tamtymi. Potem jak Stalin zmarł i było *wolne posilenie*, to proponowali sami, żeby wychodzić z obozu. Dawali nawet materiał, żeby sobie budować domki. Oni w ten sposób więcej wygrywali, jak trzymając w obozie. Już nam płacili, ale myśmy płacili za wyżywienie, za wszystko, za straż.

Pyt.: — Czy likwidowaliście donosicieli?

Owszem, były wypadki w obozach. Sam byłem świadkiem. To było wiosną. Bo pamiętam, nieraz kupę pod barakiem, człowiek załatwić się wychodził na dwór. A ponieważ były białe noce, zawsze było widno. Którejś nocy, to z wiosny było, ja po cichutku wyszedłem, za węgielkiem sobie stoję. Słyszę, że ktoś za mną po jakimś czasie wychodzi. To było już nad ranem. A sędziowie śledczy, *operupełnomoczony*, dzień i noc dyżurowali. Patrzę się, ktoś przykrył się prześcieradłem i do budynekczku [*opera*] poszedł. Mnie to zaciekało. Jakby chciał się załatwić, [to na miejscu, pod barakiem]. Przeszedłem [do baraku], położyłem się, przykryłem kocem, głowę przykryłem. Zobaczymy. On nie wiedział [że go widziałem]. Jak by wiedział, to by zaraz doniósł, że ten i ten widział. Pod wieczór, po wieczornym apelu... Apel — on czyta nazwisko, tylko odpowiadam numerem: 1 — M — 285. Tak, że nazwisk nie pamiętało się. Jak zrobili mu lanie.

Pyt.: — Ci, którym Pan powiedział?

Tak. Wszyscy przyłączyli się, cały barak. W baraku nas bywało zawsze 70, 80. w jednym baraku. a baraki były takie długie. A smród, a pluskiew.

Pyt.: — A nary były piętrowe?

Trzypiętrowe. Niesamowity smród. Na *Workucie* nie rosły żadne drzewa, a trawa rosła niesamowicie. Eskimosi [tam mieszkali] — ich nazywali nie Eskimosi, a *Zaraki*. Te osiedla, gdzie już dochodziła kultura, im stwarzali warunki lepsze, żeby tylko nie uciekali, nie oddali się, żeby ich jakoś oswoić. Bo taki skubaniec przyjeżdża na reniferach saniami. Wiezie jednego renifera ze skóry zdartego na saniach, nie przykrytego, tak goły dynda. I zachęca. Przychodzi, bierze kawałek odkraja, zachęca, żeby kupować. Oni znowu [*Zaraki*] kupowali amunicję i polowali na tak zwane *piescy*. To lisy, wilki bardziej. Nie napadały na człowieka, ale stado okrąży człowieka i wyją, cały czas wyją, żeby człowiek nerwowo się wykańczał. Nie puszcza go już ze swojego kręgu. Jak on idzie, one w tym samym kręgu pozwalają mu iść, ale już wyjścia nie ma. Jak wykończą [nerwowo], no to wtedy rozszarpia.

Pyt.: — Czy *Zaraki* mogli normalnie kupować amunicję jak w sklepie? To było dostępne?

Tak. Ale myśliwską, śrutową. Pozwalano im, bo oni dostarczali bardzo cennych futer. Lisy srebrne, to wszystko stamtąd. *Piescy* to bardzo ładne też futra, białe przeważnie i bardzo delikatne, i dzikie jelenie. Przecież tam na nie polowali. Stadami były oswajane. Kolchozy tam były.

Pyt.: — A ten donosiciel przeżył?

Zabrali go. Szpital go zabrał, nie wiadomo co z nim. Ale tak dostał, że nie wstawał.

Pyt.: — A zdarzały się zabójstwa szpicli, czy raczej tylko pobicia?

Zabójstwa zdarzały się i to bardzo często. Jak ktoś komuś załaził za skórę, to musiał odwdziaczyć się. Ale to wyłącznie od razu śmiercią, bo inaczej odwetu się bał.

Pyt.: — Nożem ich kluto?

Przeważnie tak. Tylko nożem, najskuteczniejsza broń. Przeważnie ci złodzieje mieli noże. A tak poza tym też między nami były, [jak] rewizja, to zawsze się schowało.

Pyt.: — A skąd było wiadomo? Po czym poznawało się szpicla?

Było wiadomo. Nawet ci sami wojskowi [z ochrony obozu] uprzedzali. Tylko wystarczy jednego. Trzymali się. Wszystka ta warta, co nas pilnowała, to wszystko byli przestępcy pewnego rodzaju. Bo w armii on przewinił coś. Nie chcieli go od razu zdjąć, to go wysłali tam. Dawali mu żarcie, ale on już więcej nic nie widział, żadnych rozrywek. Oni dlatego nas rozumieli. Rozumieli do pewnego stopnia.

Pyt.: — Ci ludzie, którym Pan powiedział o tym donosicielu, to byli Polacy, jacyś Pana przyjaciele?

Wszyscy. Przekazało się swoim i dalej. Przede wszystkim swoich się uprzedzało. Chociaż Ukraińiec nie był przyjacielem, ale uprzedziło się, żeby uważał.

Pyt.: — Pan pracował w kopalni na dole jako górnik?

Tak, jako górnik. Kopalnie były bardzo mokre i bardzo niskie, tak, że nieraz trzeba było na czworakach pełznąć. Wychodził człowiek mokry jak śledź, w wodzie się grzebało. Wychodziło się, ubranie zaraz do suszarki się nosło. Przez noc wysychało i raniutko znowu się ubierało.

Pyt.: — Pan wspomniał, że zupę z kapusty, kapuśniak. A co jeszcze wam dawali jeść? Chleb...

Chleb i pęczak. Taki duży pęczek, niewyluszczony dobrze, jeszcze z łuską.

Pyt.: — A jakiś tłuszcz czasami?

Taki naparsteczek oleju.

Pyt.: — Ale codziennie?

Prawie codziennie. Jadłem mięso rekina.

Pyt.: – Dawali czasami?

Tak, bo oni polowali, dla obozów przede wszystkim. To im zastępowało olej. Ale trzeba przyznać, że bardzo smaczne mięso, różowe, tłuste.

Pyt.: – Gotowane było?

Tak.

Pyt.: – A często się zdarzało?

Nie. Bardzo rzadko. Tak, jak wieloryba – też czasami zdarzało się, że dostawało się kawałek takiego tłustego, słonina, okazuje się, że to wieloryba. Jak się jadło, to czuło się ten tran.

Pyt.: – A ryby?

Ryby też dawali, ale tak słone, że grudki soli jak groch z tymi rybami razem. Przeważnie ryby płastuchy, z jednym okiem, przeraźliwe. Jeszcze będąc w Uchcie chodziło się na tak zwany *lesopowal*. Piłowało się drzewa, tak jak się stało, [na takiej wysokości pnia]; nie to, że z korzeniem. Trafiało się, że niedźwiedź zaatakuje. To wartownicy na muszkę go. Specjalnie oni dookoła pilnowali nas, na niedźwiedzia.

Pyt.: – A potem do kotła?

Tak. Skórę potem zdejmowało się i do kotła, na porcję. Takiego kolosa, przynajmniej 800, 1000 kilogramów mięsa.

Pyt.: – Czy była różnica reżimów między obozem w Uchcie a w Workucie?

Tak, różnica była. W Uchcie na przykład wychodziliśmy do roboty, to rewizja przechodziła – spojrzal się i poszedł. Coś tam fachowcy zrobią, to ten płacił za to. A już tam [na Workucie] numery dostaliśmy. Każdy bodajże był prześwietlany dokładnie. Jak była rewizja, do gołego się rozbierało. Igły nie można było wnieść, bo igłą można było zabić. A tutaj [w Uchcie] człowiek sobie zrobił kawałeczek żelaza, jakiś kawałeczek blaszki sobie znalazł.

Bardzo dużo się wykańczało ludzi, bo niesamowicie jedli dużo soli. Soli nie brakowało.

Pyt.: – To z tą rybą?

Nie to. Oprócz tego sól czysta, biała była dostępna dla chcących. Dostanie, przypuśćmy, 30 deko chleba. To wolimy sobie, nie to że szklanekę, ale taką bańkę od amerykańskiej tuszonej konserwy, tuszonki – objętość jest dosyć duża – i taką bańkę ciepłej wody. Bierze ten chleb, łamie, do tej soli i popija. I po kilku tygodniach, patrzy się na tego człowieka, taki, o.

Byłem w Uchcie, tam też była siostra, Wachtarer Anna, Niemka Nadwożańska. Ona była tam siostrą i felcerem jednocześnie. Bardzo była przyzwoita. Coś ja jej zrobiłem, że ona przez wdzięczność przynosi mnie woreczek papierowy, w nim jakiś proszek. Podała mnie dyskretnie. Ja zaglądam, pytam, co to jest? A ona mówi: „Szypownik.” Witamina. Ja bardzo dobrze stanąłem na nogi, jak to zjadłem. Był ksiądz u nas w tym czasie Słowik [?] Henryk. I on mówi: „Wladek, ty tak wyglądasz zdrowo, taki żeśki, że aż nadpodziw. Przyglądam się, kwitniesz.”

Pyt.: – Na Workucie prowadzono was pod konwojem do kopalni. To daleko było?

Na Workucie nie prowadzono nas do kopalni, bo to zaraz przy kopalni były te obozy. Ale nieraz zdarzało się, że na porządki do miasta. Nieraz przy tych zawieruchach śnieżnych tak zasypie drogi, że ruch sparalizowany całkiem. A jednak chodziły ciężarówki zaopatrzeniowe. Koleje stawały, nie mogły przejechać. To wówczas naturalnie konwój i z psami. Nie tylko sami, ale i pies na kagańcach. Brygadę taką 30, 30 kilka osób z pięciu tych konwojentów z automatami i z psami. Jeden z przodu prowadzi, a reszta po bokach.

Pyt.: – A czy zdarzały się i czy często, takie wypadki, że konwój strzelał do prowadzonych więźniów?

Zdarzały się wypadki takie. Naturalnie od razu nas uprzedzano [że w razie próby ucieczki konwój strzela]. Zdarzały się wypadki, że ojciec i syn idą. Ojciec ten ma przeszło 75 lat i trzyma się tego synka. A synek też tak samo słabiutki. I ten siłą rzeczy kładzie się. A my przechodzimy, naturalnie omijamy tak, żeby nie przekroczyć tego uprzedzenia. Dochodzi do końca. Ten wybiera karabin, strzela, dobija.

Pyt.: – I to też liczyło się tak jak ucieczka?

Tak, to się liczyło. To już była ich taka niewierność. Przecież oni nas uważali za najgorszych przestępców, gorzej niż kryminalistów.

Pyt.: – Nazywali was faszystami?

Tak jest, „wrag naroda, faszysci”.

Pyt.: – A przy drutach, przy ogrodzeniu obozu też strzelali?

Nie, jak nie przekroczył kto [wyznaczonej linii], to nie. Normalnie [strażnik] siedział w tej budce. Nieraz rzuci kawałek chleba. Nie było wypadku, żeby strzelać. Jak ktoś przestępstwo jakieś zrobił, wykroczył, to był tak zwany karcer. To znaczy sadzało się go w takim domku ogrodzonym, rozbierało się do naga i tam tańczył kilka godzin dobrych, żeby nie zamarznął. Takie kary to się zdarzały. A poza tym nie, żeby bicie, to nie.

Pyt.: – A z jakimi wrażeniami wrócił Pan do Polski? Tutaj też był komunizm.

Mnie odradzano bardzo, żebym nie jechał, że u nas jest gorzej jak u nich, co my przechodzili. Że tutaj kawałek chleba, tam [w Polsce] nawet kartofli nie ma.

Pyt.: – To znaczy ci enkawudyści tak mówili?

Tak. Cywilny człowiek nie wiedział, tylko ci propagandę taką siali. Większe pieniądze dawali. Ja postanowiłem. Zresztą ja tam nie miałem nic do roboty. Ożenić się z Rusaczką? Jedyne wyjście. W ogóle nie myślałem. Całe moje były skupione myśli na powrót do kraju. I kiedy przywieźli do Nowego Sącza, to ja wprost nie wierzyłem w to. Umyli nas, ubrali. W czystą pościel położyłem się. Usnąłem jak kamień, tylko nocą słyszę, że ktoś mnie trąca. To przyszli ci z

PCK, siostry i każdego [według] listy — budzili nocą, dawali bilet i pieniądze, 1000 złotych. To było niesamowite, trudno opisać to wrażenie, było tak miłe.

Ale była druga sprawa. Kiedy ja przyjechałem do Kętrzyna i wysiadam w Kętrzynie, i pytam kolejarza: „Proszę pana, gdzie jest ulica Bydgoska?” Mam saneczki z sobą, na saneczkach mam maszynę i radio. „A do kogo?” Ja mówię: „Strukowski Michał.” „Ach, znamy.” Pracował w prezydium, te domy przydzielał, bloki, jak to z początku było. „To porządny człowiek. Jego całe województwo zna.” Ja o godzinie 3 — ciej w nocy pukam do drzwi. Przyprowadził mnie ten kolejarz, saneczki przyciągnął i każe pukać. Ja pukam. Odzywa się brat: „Kto?” Ja mówię: „Ja, brat.” Ten tylko krzyknął: „Mamo, Władek przyjechał!” No i powitanie. A teraz dzięki Bogu mam dobrze, nie mogę narzekać.

Różański, nie pamiętam jego imienia. To był spec niesamowity. To był w Uchcie tak zwany główny mechanik całej cegielni. A tam już to było zautomatyzowane, bo wszystko wykradli podczas wojen nasze fabryki i przenieśli tam. Tam te kompresory, po kilkanaście metrów te kompresatory chodziły i tym powietrzem łamało się skały. Te maszyny były ciężkie. I on był jeden na to. Był niesamowicie zdolny człowiek, to był bezcenny człowiek. Proszę sobie wyobrazić, że on miał tam dobrze. Jego każdy uszanował, naczelnik największy, najgorszy — bo różni byli, byli prześladowcy przeważnie. To był taki typowy Żyd. On musiał jakoś współżyć z nimi, bo inaczej on by nie miał tego. Potem, jak żeśmy się znaleźli na wolności, on podłapał tam dziewczynkę i wrócił tutaj do Polski razem.

* * *

koniec